

UZDROWISKO



*Ta niegdyś rajska fasada
to cmentarzysko sekretów*

KONRAD
CHĘCIŃSKI



KONRAD CHĘCIŃSKI

UZDROWISKO



Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczyni: Agnieszka Nowak
Redakcja: Ida Świerkocka
Korekta: Małgorzata Denys
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © Veronika / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024 by Konrad Chęciński

Copyright © 2024, Mova an imprint of Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8321-908-0

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl





1986

Zmierzchało. Przyjemne wiosenne popołudnie ustępowało miejsca chłodnemu wieczorowi. Groźnie wyglądające chmury wypłynęły na rozświetlone jeszcze blaskiem zachodu niebo. Zapadła cisza, jak gdyby coś na chwilę wstrzymało pracujące dotąd nieprzerwanie tryby wszechświata.

Tak to sobie przynajmniej wyobrażała piętnastoletnia dziewczyna, która z asfaltowej szosy skręciła właśnie w leśną piaszczystą drogę prowadzącą w dół, nad pobliskie jezioro. Kilkanaście metrów przejechała jeszcze siłą rozpędu, ale po chwili koła utknęły w głębokim piachu i rowerem niebezpiecznie zarzuciło. Chcąc nie chcąc, zeszła z siodła i sprowadziła starą damkę swojej mamy aż na sam dół, do rozjazdu.

Oczywiście wygodniej byłoby pojechać asfaltem dookoła, przez ośrodek wypoczynkowy, ale to przecież całe dwa kilometry dalej, zresztą nie wiedziała, czy brama jest o tej porze roku otwarta. Z dwojga złego wolała już piaszczystą drogę przez las.

W ogóle to niepotrzebnie zmarnowała tyle czasu u Zuzki. Powinna dawno już załatwić sprawę, ale Zuza zawsze potrafiła

namieszać jej w głowie tymi swoimi opowieściami o chłopakach, końca nie ma, gada i gada, i gada. Mówiła jej, że musi już jechać, ale tamta ciągle swoje: „Gdzie będziesz jechać, zdążysz jeszcze, to tylko kawałek drogi, jak chcesz, to pojedę z tobą”. Ale jak przyszło co do czego, to oczywiście do Zuzki przyjechał Artur, kolega Adasia, i tyle ze wspólnej wycieczki do domu pana Włodzimierza.

Właściwie to niezupełnie jego dom, tylko państwa Szczepkowskich, ale rodzice mówią, że oni gdzieś wyjechali, a obecny gospodarz jest tu jedynie na jakiś czas, pilnuje pałacu i całego ogrodu. Sam w takim dużym domu – to musi być straszne tak codziennie spędzać tu wieczór i noc. Bo za dnia miejsce jest nawet całkiem przyjemne, teren duży, jezioro blisko, sam budynek wielki jak pałac. Tylko to nieustanne krakanie wron. Jak z jakiegoś horroru. Dobrze pamiętała film, w którym krwiożercze ptaki atakowały wracające ze szkoły dzieci, wlatywały do domów i opanowały całe miasto. Po jego obejrzeniu nie przepadała za ptakami.

Droga przez las zaprowadziła ją do starej zardzewiałej furtki, ledwie widocznej teraz w półmroku, ukrytej wśród rozkrzewiającego się bujnie czarnego bzu. Dziewczyna zsiadła z roweru i ostrożnie oparła go o przeszło ogrodzenia. Pchnęła furtkę, która wydała z siebie nieprzyjemny zgrzyt, i stąpając na palcach, weszła do ogrodu. Dłonią wyszukała zapięcie przerzuconej przez ramię dżinsowej torby, odpięła guzik i sięgnęła do środka. Odetchnęła. List był tam, gdzie go umieściła.

Ojciec wprawdzie wyraźnie powiedział, żeby natychmiast jechała do „pałacu” i oddała list gospodarzowi, bo to może być ważne. Ale ona spotkała po drodze Zuzkę i doszła do wniosku, że przecież parę minut nic nie znaczy, a list i tak odda. Pan Włodzimierz o nic nie zapyta i nie ma znaczenia, czy najpierw pojedzie do Zuzki, czy do pałacu.

Gdy szła przez zarośnięty ogród, słuchając szumu skrzydeł i nieustannego krakania nad głową, postanowiła, że szybko odnajdzie pana Włodzimierza, odda mu kopertę i od razu wsiądzie na rower, żeby pognać do domu. Przyspieszyła kroku. Minęła załom muru i wyszła przed fronton budynku. Kilka schodków zaprowadziło ją do drzwi wejściowych między dwoma potężnymi filarami. Uspokoiła oddech, podeszła do drzwi, zapukała. Jakoś żałośnie cicho zabrzmiało to jej pukanie wobec wielkości ciemnego ponurego domostwa. Zapukała po raz kolejny. Zbliżyła ucho do futryny i zauważyła, że drzwi nie są domknięte. Pchnęła je lekko, po czym ostrożnie wślizgnęła się do środka.

Panował tam półmrok. Upłynęła chwila, zanim jej oczy przywykły do ciemności. Pomieszczenie, przestronne i puste, przypominało wejście do opuszczonego muzeum. Od razu zauważyła duży kryształowy żyrandol, który zwisał z sufitu niczym monstrualny nietoperz.

– Panie Włodzimierzu – szepnęła. Jej cichy głosik zniknął w rozległej, mrocznej przestrzeni. Postanowiła, że zawoła jeszcze dwukrotnie, a później ucieknie stąd czym prędzej. – Panie Włodzimierzu – powiedziała trochę głośniej i nadstawiła ucha. Nic. Dom milczał. Ani jeden dźwięk nie mącił ciszy wypełniającej stare mury. – Panie Włodzimierzu, przyniosłam list! – Teraz już zawołała naprawdę głośno i zastygła w bezruchu. Ale i tym razem nikt nie odpowiedział, mimo że długo czekała na jakikolwiek dźwięk.

„Nie ma go w domu – stwierdziła. – Może wyszedł do ogrodu i tam go znajdę?” Jednak myśl, że miałyby szukać gospodarza pośród zarośli, ze stadem wygłodniałych wron nad głową, przyprowadziła ją o dreszcz przerażenia. O nie! To już woli wrócić do domu i dostać burę od ojca.

I nagle przyszedł jej do głowy zbawienny pomysł.

„List! Przecież nie przyszła tu po to, aby rozmawiać z panem Włodzimierzem, ale żeby pozostawić dla niego list”.

Zauważyła, że drzwi prowadzące do pokoju po prawej stronie są nieznacznie uchylone. Odetchnęła głęboko, z sercem na ramieniu pchnęła je lekko i zajrzała do środka. Pierwszą rzeczą, którą zauważyła, było masywne biurko stojące pod oknem. Aż podskoczyła z radości. Szybko sięgnęła do torby, wyjęła dużą szarą kopertę złożoną na pół, podeszła do biurka i delikatnie położyła list na samym brzegu, tak aby gospodarz mógł go zauważyć, kiedy wejdzie do pokoju.

Zadowolona z siebie, zapięła torbę na guzik, po czym odwróciła się gwałtownie i zwróciła ku drzwiom. I już sięgała ręką do klamki, gdy nagle dostrzegła na podłodze coś, czego nie powinno tam być. Długi ciemny kształt, wygięty dziwacznie niczym ogromna larwa. Fala gorąca oblała ją w jednej chwili od stóp do głów, a ręce, kurczowo zaciśnięte na pasku torby, zaczęły dygotać. Zbyt wiele filmów obejrzała z Zuzką, aby nie domyślić się, co tu przed nią leży. Wiedziała, że to trup, czuła, że powinna teraz wrzasnąć i piszczeć, jak to robią zawsze kobiety w sensacyjnych filmach, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

I dopiero gdy trup wyciągnął do niej rękę i zaczął charczeć, pojęła, że coś tu nie pasuje. A kiedy ciemny odwłok przesunął się po podłodze, złapała za klamkę, szarpnęła i wypadła z pokoju do sieni, wrzeszcząc wniebogłosy. Tam jej głos zamarł natychmiast, wrzask zawisł w powietrzu, kryształły żyrandola drgnęły i delikatnie zadźwięczały. W drzwiach wejściowych, teraz już szeroko otwartych, stał cień. Czarny kształt pozbawiony twarzy.

„Złe z lasu”, pomyślała dziewczyna. I instynktownie narysowała na piersi znak krzyża.



2005

O budziło go bębnienie kropel deszczu o dach namiotu. Nieregularne uderzenia tuż nad głową, głośne, jakby nad kempingiem przechodziła nie wiadomo jaka ulewa, choć wiedział przecież, że to tylko poranna mżawka, która ustanie, zanim dzień rozbudzi się na dobre. Słyszałby drzewa, gdyby było inaczej. I jezioro. A oprócz dudniących kropel nie docierał do niego żaden inny dźwięk. Mimo to był przekonany, że nie zdoła już ponownie zasnąć. Klnąc pod nosem, wypętlzył ze śpiwora, rozsunął namiot i wyjrzał na zewnątrz. Ledwie sięgnęło.

Kilka pierwszych kroków całkiem przegoniło sen. Drżąc z zimna, ruszył w kierunku obrzydliwych betonowych sanitariatów, bielonych wapnem i pokrytych smugami, których pochodzenia nie chciał znać. Nie wszedł do środka. Schowany za ścianą, ulżył pęcherzowi na świeżym powietrzu, po raz nie wiadomo który dziękując matce naturze, że w swojej mądrości nie nakazała mu być kobietą.

Starsza pani z recepcji (pani Tereska, jak zdążył się już pierwszego dnia dowiedzieć) na jego uwagi, że należałoby kiedyś

wyremontować te obskurne budy, tylko westchnęła i stwierdziła ze wzruszeniem ramion, że kiedy stary Sobczyk żył, to jeszcze jakoś to trzymał w garści, ale jak syn wszystko przejął, to już wiadomo, że nic z tego nie będzie. „Ale co ja tam się będę, panie, odzywać. Jeszcze zwolnią. I co wtedy zrobię, kawalerze? Gdzie robotę na starość znajdę?”

Westchnął i ruszył ścieżką ku połyskującej między drzewami tafli jeziora. Oparty o drzewo popatrzył na zwiewne opary mgły rozsnute nad delikatnie pomarszczoną powierzchnią wody, na niedużą wysepkę w oddali, na odległy brzeg porośnięty lasem oraz masywną bryłę ośrodka Korab, z wąskim pasem plaży oraz pomostem wchodzącym kilkanaście metrów w wodę. Ciszy poranka nie mąciło nic poza szumiącymi gdzieś w koronach sosen kroplami porannego deszczu.

Zszedł na brzeg i wzdłuż szaroburej plaży podążył ku przystani. Butwiejące deski pomostu niebezpiecznie trzeszczały pod stopami. Na jego krańcu stała drewniana ławeczka, na której można było odpocząć po całym dniu, a o świcie chłonąć otulony spokojem i mgłą obrazek roztaczający się przed oczami niby ogromna fototapeta.

Ktoś siedział na ławce. Szczupła kobieca postać o długich, upiętych z tyłu blond włosach. Chciał się dyskretnie wycofać, lecz stary pomost zaskrzypiał po raz kolejny i kobieta odwróciła głowę. Uśmiechnął się, speszony, a ona odwzajemniła uśmiech. Była ładna tą nienachalną urodą zadbanych kobiet, które wiedząc, że nic nie muszą, robią ze swoim ciałem dokładnie tyle, ile trzeba, aby nie popaść w przesadę.

– Przysiądzie się pan? – Głos miała pewny, prawie męski, ale przyjemny i zachęcający. Byłby durniem, gdyby nie skorzystał z zaproszenia.

Delikatny makijaż podkreślał jej subtelną urodę, pastelowy kolor bluzki harmonizował z jaśniotkim beżem spodni i tylko

mocny, karminowy odcień szminki nadawał jej twarzy uwodzieleński, nieco nadnaturalny urok. Nagle zdał sobie sprawę, że stoi tu przed nią, w dresie, prosto ze śpiwora i w niezapiętych sandałach. Zawstydzony, przysiadł na brzegu ławki.

– Przepraszam – powiedział. – Dopiero wstałem.

Roześmiała się.

– Rozumiem. Na wakacjach?

– Powiedzmy – odparł. – Wyrwany z objęć wielkiego miasta.

A pani?

Patrzyła w dal. Ku ukrytej za oparami mgły wyspie. Milczała przez chwilę, po czym odrzekła:

– Pięknie tu, prawda?

Przytaknął.

– Nie byłam tu od lat, wie pan? Długi, długi czas poza domem. Myślałam, że nie trafię, że nie poznam tego miejsca. I co? Dopiero co przyjechałam i widzę, że nic się nie zmieniło. Ten sam pomost, ta sama ławka, ta sama wyspa. Jakbym nigdy nie opuściła uzdrowiska. I tylko jakby wszystko zmałało. Kiedyś wydawało się ogromne. Teraz normalne. Wie pan, jak nazywaliśmy tamten dom za siatką? – Uśmiechnęła się do swoich myśli. – Pałacem! Wyobraża pan sobie? Pałac! Gdy jesteśmy dziećmi, świat dookoła przybiera monstrualne rozmiary. Kiedy dorastamy, wszystko maleje i się kurczy.

– Mizernieje – rzucił od niechcienia.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem:

– Mizernieje, tak. Weźmy tamtą wysepkę. Wydawała się taka wielka i straszna. Popłynęłam tam raz i do tej pory pamiętam tę ekscytację. Tam są ruiny, wiedział pan? Jakaś stara budowla, murowana piwnica, różne rzeczy o niej ludzie mówili. Przerazające miejsce. Był pan już na wyspie?

– Jeszcze nie. Ale teraz na pewno się wybiorę.

– Niech pan tam popłynię. Zawsze jakaś odskocznia od wakacyjnej nudy.

– Nie nudzę się. Dużo spaceruję, trochę pływam. Parę lat na urlopie nie byłem.

– A skąd pan przyjechał? Jeżeli mogę spytać. – Uniosła rękę w przeproszającym geście.

– Z Warszawy – odparł. – Żadna tajemnica.

– Do takiej dziury? Ze stolicy? – Wyglądała na zdziwioną.

Tym razem to on się uśmiechnął.

– Oprócz urlopu mam tu jeszcze parę innych spraw do załatwienia.

– Rozumiem. – Odwróciła głowę i przymknęła oczy.

Patrzył na nią coraz bardziej urzeczony. Za plecami rozległ się nagle dobiegający od strony namiotów płacz dziecka. Kobieta otworzyła oczy, jakby coś zbudziło ją ze snu. Wstała z ławki.

– Muszę lecieć – powiedziała, zanim podała mu wyciągniętą dłoń. Miała mocny, męski uścisk. – Wystarczy wspomnień na jeden raz. Cieszę się, że pana spotkałam.

I odeszła, pozostawiając po sobie chłód dłoni i karminowy uśmiech.

I jeszcze coś.

Kiedy stracił ją z oczu i spojrzął tam, gdzie przed chwilą siedziała, dostrzegł leżącą pod ławką, złożoną na czworo kartkę. Zaintrygowany, rozłożył ją i przeczytał. Równe, eleganckie kobiece pismo informowało:

Niech pan popłynię na wyspę. Ona tam jest.

Spojrzął w kierunku, w którym odeszła. Którędy wyszła? Brama wjazdowa na teren ośrodka była jeszcze zamknięta. Ścieżką od pomostu ruszył ku ogrodzeniu. Wystarczyło tylko obejść

budynek stróżówki, by znaleźć dziurę w siatce ukrytą za krzakiem dzikiego bzu. Musiała dobrze znać to miejsce. Za bramą nikogo już nie było. Albo odjechała asfaltową drogą z parkingu, albo weszła w las jedną z dobiegających tu ścieżek.

Mimowolnie spojrział na niszczący budynek opuszczonej willi za siatką, oświetlonej teraz promieniami słońca. Ponura bryła na tle chudych, wystrzelających w niebo topoli. Pałac. Tak to nazwała.

I kazała mu płynąć na wyspę.

Płynął równym rytmem, rozbijając wodę energicznymi ruchami rąk. Musiał okrążyć szeroki pas trzciny okalających brzeg wyspy, zanim dotarł do zatoczki, skąd wyszedł na rozległą polanę. Cienka smuzka dymu z niedogaszzonego ogniska sunęła w stronę jeziora, niknąc gdzieś ponad wąskim pasem piaszczystej plaży, gdzie przy pomoście kołysała się na wodzie wiosłowa łódka. Dwa wiosła, starannie ułożone, leżały obok siebie na brzegu.

Ruiny, o których mówiła kobieta, okazały się pozostałościami kamiennego budynku służącego może niegdyś jako schronienie dla zwierząt wypasanych tu, zanim wyspa zarosła kępami drzew. Dach zapadł do wewnątrz, w oknach nie było szyb, a masywne drewniane drzwi stały oparte o stertę kamieni w szczycie budynku.

Za rogiem kamiennej budowli odkrył coś jeszcze. Niski budynek wzniesiony z takiego samego szarego kamienia, z drzwiami, do których schodziło się po dwóch wytartych betonowych stopniach. Ze zdziwieniem zauważył na drzwiach dużą zardzewiałą kłódkę i masywny skobel.

Zszedł do zatoczki. Niewielką plażę zamykała wysoka skarpa z rzadka porośnięta sosnami, w oddali biała masywna bryła ośrodka wczasowego Korab. Tyle. Zagajnik, zarośla, polana

z ogniskiem, ruiny i piwniczka zamknięta na kłódkę. „Ona tam jest” – napisała kobieta. Odwrócił się i ruszył w stronę kamiennego budynku. Wiedziony bardziej ciekawością niż niepokojem, zajrzał do środka. Chwilę trwało, zanim oczy przywykły mu do półmroku.

I wtedy je zobaczył. Ciało mężczyzny oparte głową o kamienny próg. Machinalnie rozejrzał się w poszukiwaniu czerwonej kałuży na glinianej polepie. Przykucnął, dotknął czoła leżącego i z ulgą stwierdził, że jest ciepłe. Mężczyzna drgnął i wydał z siebie cichy charkot. Z warg spłynęła mu strużka śliny, a głowa osunęła się po kamiennej ścianie. Miał na oko czterdzieści lat, był ogolony na zero, szczupły, żeby nie powiedzieć chudy, ubrany w czarną kurtkę, białą koszulę rozpiętą na piersiach, pokrytą dużymi plamami nieokreślonego koloru.

Przeszukał leżącego i w wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki wyczuł zapakowany w folię, niewielki obły kształt. Tabletki. Schował ją pod kąpielówki, wstał i jeszcze raz okrążył budynek oraz miejsce, w którym tliły się resztki ogniska. Wreszcie podszedł do kotłyszanej delikatną falą łódki. W siedzisku poprzecznej ławki kryła się niewidoczna na pierwszy rzut oka kłapa. Odeknął ją i znalazł skrytkę, a w niej skózaną saszetkę na dokumenty. Dowód, prawo jazdy, karty do bankomatu, paragony. Przejrzał to wszystko i ponownie spojrzął na łysą twarz ze zdjęcia. Nie ulegało wątpliwości, że facet na fotografii i leżący w szopie pijany do nieprzytomności mężczyzna to ta sama osoba. „Radosław Sieroń” – przeczytał. Trzydzieści sześć lat. Rachunek zwinięty i upchnięty za kartą kredytową opiewał na sto czterdzieści sześć złotych i osiemdziesiąt groszy. Sklep spożywczy Sosenska, wczoraj, dwudziesta pięćdziesiąt dwa. Kilka wizytówek, wszystkie z ośrodka wczasowego Korab. Na burcie łodzi również widniała nazwa ośrodka, namalowana niezgrabnie białą farbą. W bocznej

kieszonce szaszetki znalazł złożoną kartkę, na niej zapisany był numer telefonu, a obok koślawo nakreślone inicjały J.D. oraz duży znak zapytania. Po krótkim wahaniu zwinął kartkę i wsunął ją do foliowej torebki z tabletką.

Odłożył szaszetkę na miejsce i wrócił do kamiennej szopy. Mężczyzna charczał. Zaschnięta strużka śliny wciąż białała w kąciku ust.

Złapał go za kurtkę i wywlókł na zewnątrz, oparł o ścianę, po czym nabrał do jednej z pustych butelek wody z jeziora i wylał na łusą czaszkę. Tamten drgnął, otworzył przekrwione oczy i powiódł dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

– O kurwa – jęknął po dłuższej chwili. – Gdzie jestem?

Z trudem podniósł głowę i jak przez mgłę ujrzał ogromną postać w samych kąpielówkach, stojącą nad nim w rozkroku niezłym mityczny kolos. Zmrużył oczy i wycharczał:

– Co, do cholery? Kim pan jest? – Przyłożył pięść do czoła i zacisnął oczy. – Kurwa, jak mnie łeb napier...

– Zobaczyłem pustą łódź przy brzegu i dopłynąłem do wyspy. Czym żeś się pan tak zaprawił?

Sieroń machnął ręką i burknął coś niezrozumiale.

– Z ośrodka? – spytał.

– Z kempingu. Nazywam się Werner. – Nie wyciągnął ręki na powitanie. – A pan z ośrodka?

Tamten zignorował pytanie. Wystawił język jak pies chcący złapać odrobinę wilgoci w upalny dzień, oparł głowę o mur i przymknął oczy.

– Daj mi pan chwilę, co? – powiedział cicho. Ale nie wytrwał tak dłużej niż kilka sekund. – Aż tutaj pan przypląnął z pola? – Mówiąc to, miał wciąż zamknięte oczy i głowę opartą o ścianę.

– Dużo pływam – odparł Werner. – Poranny trening.

Sieroń nie skomentował.

– Która godzina?

– Nie wiem, siódma, wpół do ósmej. W ośrodku jeszcze cisza.

Tamten jęknął, próbując wstać. Chwycił za wystający ze ściany kamień i podciągnął się niezgrabnie. Zrzuciło nim, ale utrzymał równowagę i wyprostowany, choć nieco chwiejny, spojrzął na Wenera triumfująco. Był niższy, niż się z początku wydawało. Płama na białej koszuli nabrała w słońcu brązowego koloru. Mężczyzna zauważył spojrzenie Wenera, bo odruchowo zasłonił ją brzegiem kurtki.

– Porzygałem się, szlag by to... A może i dobrze. – Potoczył dokoła mało przytomnym wzrokiem. – Gdzie moja torba? – burknął, ale zaraz machnął ręką. – Znajdzie się. Podrzuci mnie pan do ośrodka? Sam nie dam rady.

– Wolałbym nie paradować po lesie w samych slipach od rana. – Werner popatrzył po sobie.

– Odstawi mnie pan do ośrodka, a potem popłynię łódką na pole i tam ją zostawi przy plaży. Później ktoś po nią przyjdzie. Załatwię to. – Mężczyzna obszedł ognisko, zaglądając za pnie, zerknął w krzaki i za róg szopy, po czym ruszył w stronę zatoczki i wsiadł do łódki. Nerwowym ruchem otworzył skrytkę, wyjął z niej szaszetkę z dokumentami i przejrzał szybko. Wyraźnie uspokojony, pomachał nią do obserwującego wszystko Wenera. – To ważne! – Odłożył szaszetkę na miejsce, ostrożnie usiadł na dnie i oparł głowę o burtę. – Płynię pan czy nie? – rzucił.

Werner raz jeszcze omiół wzrokiem polanę, starając się zachować w pamięci wszystkie szczegóły. „Ona tam jest” – napisała kobieta. Gdzie?

Do ośrodka dopłynęli w milczeniu. Sieron przysypiał, trzymając się burty, a na plażę wypełził niczym jakiś przerośnięty, wiotki robak. Zbladł bardzo, najwidoczniej kołysanie łodzi wzmogło działanie tego wszystkiego, co w nim jeszcze z nocy zostało, na

szczęście opanował bezwarunkowe odruchy organizmu i machnąwszy ręką na pożegnanie, powlókł się w stronę głównego wejścia ośrodka wypoczynkowego.

Kiedy Werner wrócił na pole namiotowe, pani Teresa urzędowała już w baraku recepcji. Podszedł do szerokiego okienka i zapukał w szybę. Starsza kobieta oderwała wzrok od rozłożonego na blacie brukowca i zdjęła okulary.

– A, to pan, panie Piotrusiu. Tak wcześnie na nogach?

– Deszcz mnie obudził, pani Teresko. I nie było sensu kłaść się z powrotem.

Za plecami, przy zejściu do jeziora, szalała już gromadka bosonogich dzieciaków wrzeszczących wniebogłosy. Trzy kilkuletnie bąki wpychały się do jeziora, za każdym razem wydobywając z siebie serie przerażających pisków. Zastanawiało, jak w tak małych organizmach mieści się aż tyle energii, a przecież proces ten powtarzały nieskończoną ilość razy w ciągu dnia. Tylko jedna, starsza dziewczynka siedziała na burym piasku, trzymała brodę na kolanach i obserwowała wyczyny swojego rodzeństwa z zupełną obojętnością.

– Czterdzieści lat tak już tego słucham – westchnęła pani Teresa, wpatrując się w dokazujące maluchy, jakby to były jej własne wnuki. – Ale w tym roku koniec. Nie dam już rady. Kiedyś to był ośrodek! Nawet pan sobie nie wyobraża. Ludzie z całego województwa zjeżdżali. I siedzieli tygodniami. Władze dbały, póki Szczepkowsy tu przyjeżdżali na daczę. Jak domki nowe postavili, to zapisy były rok naprzód, da pan wiarę? I same szychy się tu bawiły. Dyskoteka co wieczór. Dudniło po całym jeziorze, mówię panu. – Zamilkła na chwilę zamyślona, ale zaraz powróciła do rzeczywistości, pytając z właściwym sobie profesjonalizmem: – A ciebie co boli, gołąbeczku?

Werner wskazał łódkę, którą wcześniej wyciągnął na piasek.

– Pożyczyłem z ośrodka po drugiej stronie jeziora. Ma tu przyjść po nią taki łysy, chudy, w skórzanej kurtce.

– Sieroń? On panu łódkę pożyczył? – W głosie pani Teresy wyczuł wyraźną nutę niedowierzania.

– Nie wiem, nie przedstawił się.

– Jak łysy i w skórze, to Sieroń. Mąż właścicielki. Picuś taki. No, ale skoro pożyczył.

– Wydawał się sympatyczny. Nie robił problemów.

– Trzeba było tu ode mnie wziąć łódkę, jak chciał pan sobie popływać. Wie pan, gdzie są. Na drugi raz proszę tak zrobić.

– Dziękuję, będę pamiętał.

Machnął dłonią na pożegnanie i wrócił do namiotu. Wrzeszczące dzieciaki gdzieś zniknęły i nagle nastała cisza zakłócana jedynie brzęczeniem naczyń, dochodzącym z prowizorycznych stanowisk do zmywania: długiej, betonowej rynny z zaworami zamiast kranów. Jedna z nowych sąsiadek zmywała po śniadaniu. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie ocenić wysokiej zgrabnej sylwetki, odzianej, jak się zdawało, w trochę tylko dłuższy niż normalnie biały T-shirt ozdobiony napisem „Kiss me” oraz wyblakłym rysunkiem niegdyś pewnie czerwonych ust.

Zauważyła jego wzrok i odwzajemniła uśmiech. Odruchowo sięgnęła dłonią do spiętych byle jak włosów, jakby chciała powiedzieć, że nie zdążyła jeszcze zrobić z nimi porządku. Smarując wczorajszą bułkę pasztetem, odprowadził dziewczynę wzrokiem aż do dwuosobowego namiociku rozstawionego w najdalszym kącie pola. Ze środka wyjrzała zaspana brodata twarz mężczyzny w okularach. Był dużo starszy od niej i wyglądał na wykładowcę politechniki. Co ją plasowałoby gdzieś w okolicach studentki trzeciego roku. Po raz kolejny tego poranka Werner uśmiechnął się do swoich myśli.

Tymczasem na polu namiotowym coś zaczynało się dziać. Rodzice czterech rozwrzeszczanych córek, których w myślach

nazywał „hipisami” bez kwiatów we włosach, za to w lnianych ciuchach i obowiązkowych sandałach, przygotowywali posiłek w jego najbliższym sąsiedztwie. Na kemping przyjechali dopieszczone, co najwyżej kilkuletnim vanem, mieszkali zaś w dwóch dużych wysokich namiotach z przedSIONkami i całym biwakowym ekwipunkiem, z czego wnosił, że wybór ośrodka nie był w tym przypadku podyktowany względami ekonomicznymi, lecz raczej sentymentalno-wychowawczymi. On siedział w płóciennym fotelu wpatrzony w dal, podczas gdy ona rozłożyła stolik i przyniosła z namiotu skrzynkę z naczyńiami.

Od strony domków – starych drewnianych konstrukcji w kształcie olbrzymich trójkątów – doszły go pierwsze odgłosy intensywnej krzątaniny: męskie pokrzykiwania, wspominki wczorajszej świetnej zabawy, od czasu do czasu salwa rubasznego rechotu. Odpalenie kuchenek gazowych, niespodziewany gwizd czajnika, tu i ówdzie brzęk zbieranych i wynoszonych na śmietnik butelek. Na oko cztery rodziny, dwie urządzone tu na stałe, dwie przyjezdne, weekendowe.

I jeszcze osiedle namiotów tuż przy zejściu na plażę. Pięć małych dwuosobowych igloo ustawionych w okrąg wokół prowizorycznego miejsca na ognisko. Od jakiegoś czasu krzątał się tu krępy łysiejący księżulo w dresie i sandałach. Reszta towarzysztwa – młodziaki obu płci – spali, wymęczeni wczorajszymi dyskusjami o Bogu, zmarłym papieżu i świętej panience, która gdzieś tu miała się podobno kiedyś objawić.

– Szczęść Boże – usłyszał. Pani Tereska wyglądała z okienka i gestem przywoływała księdza, który najwyraźniej przygotowywał się do porannej toalety. Z przerzuconym przez ramię ręcznikiem i mocno wypchaną kosmetyczką pod pachą podszedł posłusznie do budynku recepcji.

I wtedy właśnie, jak na dany znak, powietrze rozdarł przeraźliwy pisk. Rozszedł się w ciszy poranka, tym straszniejszy, że

niespodziewany. Jednocześnie z drzew wokół pałacu wleciały w niebo stada wron z potwornym, nieludzkim skrzekiem. Wszczął się rejwach, Werner skoczył na równe nogi. Ten krzyk nie był krzykiem rozbawionego dziecka. To był wrzask przerażenia. Spojrzał w stronę hipisów. Oni też patrzyli po sobie. Kobieta krzyknęła: „Rany boskie, dzieci!” i rzuciła się w kierunku bramy, trącając przy tym stolik, który z brzękiem upadł na ziemię. Mężczyzna wstał z fotela, zdezorientowany, po czym zaczął nerwowo zbierać leżące miski. Werner nie patrzył już, ruszył za kobietą ku bramie.

A tam podbiegł właśnie jeden z bosonogich maluchów. Zadzierając rozczochraną główkę, patrzył to na panią Tereskę, która stanęła w otwartych drzwiach baraku, to na księdza i wskazywał wyciągniętym, brudnym paluszkiem na schowany za drzewami pałac:

– Płose pani, płose pani, tam za ksakami leży tłup.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova